ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Marca 1895. **Nr. 5.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Pan Marek Siekierzyński spotkawszy Ludkę wracającą z leśniczówki, gdzie się co dopiero z mężem pożegnała, i spostrzegłszy jej twarz zmienioną i oczy czerwone od płaczu, jął troskliwie wypytywać: dokąd jeździła i czy się jej co złego nie przytrafiło na drodze.

Ludmiła siląc się na swobodę i spokój, odparła, że była w leśniczówce u Dymitra, że zawiozła swej małej chrześniaczce sukienkę i z dzieckiem się mile zabawiła. Co istotnie było prawdą, bo piękna pani lubiła bardzo igrać z maleńką córeczką leśnika i często darzyła ją sukienkami, co i dziś miało miejsce.

Pan Marek pomyślał sobie przecież, że przejażdżka, sukienka, dziecko i miła z niem zabawa nie może być przyczyną łez i jakiegoś wielkiego cierpienia, rozlanego w całej postaci ślicznej panienki.

Nic jednak nie mówił, tylko wprowadziwszy Ludkę do zamku i skłoniwszy się jej głęboko, zamyślony udał się do swego pokoju, postanawiając w duszy dowiedzieć się koniecznie, co było powodem owego smutku i niepokoju.

Nie przypuszczał on wprawdzie nic złego o pięknej sierocie, wiedząc jak ją siostra troskliwie wychowała, ale dla tego właśnie tem dziwniejszą wydała mu się ta cała sprawa.

Jął tedy rozmyślać, jakby zbadać tajemnicę Ludki, gdy stary Semen wszedł do komnaty, oznajmując, że pani Elżbieta pilnie prosi pana Marka do siebie.

Pani Gorajska lubo mocno osłabiona, siedziała w łóżku i z widoczną niecierpliwością oczekiwała brata, bo ledwo ten ukazał się na progu, zawołała;

— Panie bracie! Cóż za niespodziana i smutna nowina! Oto ledwoś wyjechał za wrota, przybył tu goniec od panny Anny Wisłockiej z Olechowic z listem, w którym nam donosi, że król jegomość zakończył życie w Grodnie.

Pan Marek poskoczył ku siostrze wołając:

— To chyba być nie może! To jakaś wieść mylna! Gdzież jest to pismo?

— Niestety to smutna pewność, mój bracie, nie mamy pana! Oto list.

Brat pani Gorajskiej odebrawszy podane sobie pismo, przebiegł je szybko oczyma a następnie chwyciwszy za głowę mówił:

— Oj, co się to teraz dziać będzie w kraju! Boże zmiłuj się! Razem z życiem króla Stefana skończyło się panowanie Zamojskiego, teraz mu panowie Zborowscy zapłacą za wszystko!

— Tak, dzieci jednej matki będą się kłóciły, biły może nawet... a luba Ojczyzna będzie na tem cierpiała; nieprzyjaciele zaś nie omieszkają skorzystać z naszej niezgody — rzekła z westchnieniem pani Elżbieta, patrząc bratu w oczy.

— A któż temu będzie winien, żali nie ten, który się najwierniejszym synem kraju powiada, wielki hetman i kanclerz Zamojski? Nie jego to pycha i zawiść, a zemsta przeciw panom Zborowskim winna tej kłótni dwóch najpierwszych w Polsce rodzin?

— Miły bracie — odparła pani Gorajska — jestem ja niewiasta i nie umiem sądzić tych spraw, ale sam wiesz, że panom Zborowskim udowodniono zdradę i spisek na życie króla Stefana. Wszak pan Krzysztof Zborowski nie czekając końca sądu sejmowego, uciekł do Morawii, i zaocznie skazano go na utratę czci, a sprawę brata jego Andrzeja, marszałka nadwornego odłożono do następnego zebrania sejmu, jeden tylko Jan został uznany niewinnym, który się sprawek braci odprzysiągł.

Pan Marek słuchał siostry z brwią namarszczoną, chodząc po komnacie i mrucząc:

— Prawda jest, prawda... wszelakoż...

— I niedość na tem — podjęła znowu chora — że sejm, składający się z wielu krewnych i przyjaciół panów Zborowskich, wobec jawnej winy, musiał ich potępić, lecz jeszcze powszechnie mówiono, iż wzięli zapłatę od Moskwy i byli gotowi do zdrady.

— Jestto straszny, okropny zarzut — wykrzyknął pan Siekierzyński, — na który się dusza wzdryga! Ale ja nie wierzę, nie, aby zaś Zborowscy mieli sobie tak haniebnie poczynać!

— Jak tu nie wierzyć, mój bracie, kiedy nieboszczyk król jegomość zebrał niezbite i jawne dowody przeciw nim? Toż pokazało się, że panowie Zborowscy byli w spólnictwie z panem Ościkiem z Kowarska, który znowu był w zmowie z Iwanem Groźnym, carem moskiewskim i godził na życie królewskie, za co dał gardło w Wilnie.

Młodzieniec nic jej nie odpowiedział, ale wzburzony chodził długi czas po komnacie, podgarniając raz po raz gwałtownym ruchem ręki bujną czarną czuprynę; po długiej chwili dopiero, zatrzymał się przy łóżku siostry, którą szanował jak matkę, gdyż pani Elżbieta będąc przyrodnią siostrą pana Marka i wiele lat starszą od niego, wychowała go od maleńka, i rzekł:

— Biję się oto z myślami, miła pani siostro, rozważam sobie tak i owak, ano, i nie wiem gdzie prawda, gdzie słuszność. Gdy panowie Zborowscy mówią, przy nich zda się być sprawiedliwość, a skoro ich przeciwnicy prawić zaczną, to też niby prawdę głoszą!

— A na cóż Bóg dał człowiekowi rozum i sumienie? Żali nie na to, iżby wedle sprawiedliwości, a słuszności przyjaciela i nieprzyjaciela sądził? Mnie panowie Zborowscy nic złego nie uczynili i ja im nie jestem nieprzyjazną; owszem, z serca im wszelkiego dobra życzę, a osobliwie porzucenia grzesznej drogi, i wdzięczna im być muszę, za przyjaźń, którą tobie, panie bracie, okazują. Ale mimo to darmo oczy na złe zamykać, darmo mówić, że sobie dobrze poczynają. Radabym ja też bardzo była, żebyś, Marku, więcej w Siekierzanach, a mniej u Zborowskich przesiadywał.

— Jać też sprawiedliwość chętnie każdemu oddać pragnę.... każdemu! pan-li to jest czy chłop — zawołał pan Marek, nie zwracając uwagi na ostatnie

słowa chorej — wiecie, pani siostro, że nie byłem przyjacielem króla Batorego, wszelako rad mu przyznaję, że wielkim był monarchą. Te jego wiekopomne zwycięstwa nad Moskwą, nad okrutnikiem Iwanem Groźnym radują każde prawe polskie i żołnierskie serce, a czcić każą króla bohatera! — mówił młodzieniec z uniesieniem, a oczy jego ogniem zapału płonące, wpatrywały się w dal, jakby drugi raz ujrzeć pragnęły bohaterskie walki, przesławne zwycięstwa, do których wiódł polskich rycerzy wielki wojownik, król Stefan Batory, a w których brał udział także pan Marek. Lecz niebawem zwrócił oczy na siostrę i spokojniej już mówił dalej:

— Tak, miła siostro, król Stefan to wódz nad wodze, i rycerz nad rycerze; bodaj prędko drugiego takiego niebo dało nam króla! Trudno też nie przyznać, ile on dobrego zrobił dla kraju: urządził kozaków, zaprowadził piechotę łanową, starał się o stały skarb, o oświatę, zakładając szkoły jezuickie po całym kraju; sejmy też jakoś odbywały się za jego panowania gładziej i pomyślniej; wszystko to prawda, ale i to nie kłamstwo, że chciał ograniczyć wolność i swobody szlacheckie....

— Powiedz raczej chciał powściągnąć swawolę — przerwała pani Elżbieta — a gdyby mu Bóg użyczył był dłuższego życia i pozwolił przeprowadzić zniesienie wolnej elekcyi...

— O, tu już widzę, że ksiądz Teofil, uczony Jezuita nawiedził panią siostrę i prawił o tych wielkich, jak je niektórzy nazywają, zamysłach królewskich i ustanowieniu dziedzicznego królestwa i o wojnie z Turkami — zawołał z uśmiechem pan Marek, całując siostrę w rękę.

— Prawda, był tu ojciec Teofil i bardzo żałował, iż cię nie zastał; ale miał jakąś sprawę w Kamieńcu i pilno mu było w drogę. Gdybyś był słyszał, co mowił o królu...

— Już ja wierzę, że go pod niebiosa wynosił. Ale, pani siostro, po cóż my się mamy spierać o nieboszczyka, który już na sądzie Bożym? Niech mu Pan będzie miłościwym sędzią i da wieczny odpoczynek.

— Amen! — dorzuciła pobożnie pani Elżbieta a pomodliwszy się chwilkę za duszę wielkiego króla, ozwała się znowu: — Słusznie mówisz, panie bracie, ja się też z tobą spierać nie pragnę; ino chciałabym, byś panów Zborowskich porzucił, osiadł we własnych kątach, ożenił się i służył poczciwie Ojczyźnie.

— Radbym i ja pomyśleć o przyszłości.... ale teraz w domu się nie osiedzę; panowie Zborowscy wnet tu gońca przyślą...

— To też pragnę, byś nie jechał, Siekierzan na łasce dworskich nie zostawiał; mnie już trudno myśleć o wszystkiem, zwłaszcza też gdy mi zdrowie nie dopisuje; gdyby nie poczciwy Semen, jużbym sobie i rady nie dała. Żenisz się, jam niedołężna... masz dobrą wymówkę nie jechać, lecz zostać w domu.

— A! nie, nie, pani siostro — zawołał żywo młodzieniec — zagrzebać się w Siekierzanach teraz, gdy w kraju wre, jak w kotle ukropu nie potrafię. Sama powiedz, czyby się to godziło? Ja pragnę służyć Ojczyźnie, pragnę walczyć i będę walczył po stronie, gdzie słuszność, będę bronił powszechnego dobra od prywaty tych, którzy to zawsze i wszędzie własny tylko interes mają na oku.

— Już tam panowie Zborowscy swoją sprawę, uczynią sprawą powszechnego dobra i ciebie wciągną do tej grzesznej roboty — odrzekła pani Gorajska, smutnie potrząsając głową, a po chwili spytała z żalem: — więc tedy odjeżdżasz i Ludwiki poślubić nie chcesz?

— Ja Ludki nie chcę poślubić? — zakrzyknął pan Marek ze zdumieniem — Na Boga! Co za przypuszczenie? Zkąd wam taka myśl przyszła, kochana siostro? Toć ja niczego tak gorąco nie pragnę, jak śliczną sierotę nazwać moją małżonką!

— A chcesz uciekać ze Siekierzan!

— O, inaczej nie odjadę, tylko jako mąż Ludmiły; to już sobie postanowiłem. Trzeba tedy koniecznie ślub przyspieszyć... uczyń to, kochana pani siostro...

Szkoda, że ksiądz Teofil odjechał tak spiesznie; Ludka ucieszyłaby się pewno, gdyby on związał nasze dłonie i pobłogosławił nam na wspólną dolę.

— Tak, spieszyć się musicie, bom co dzień słabsza...

— Ach! najdroższa moja siostro i matko, nie mów tak, Bóg ci jeszcze zdrowia i życia użyczy — przerwał pan Siekierzyński, klękając przy łóżku i ręce pani Gorajskiej przyciskając do ust z miłością. Chora się uśmiechnęła, nakreśliła znak krzyża św. na czole brata i rzekła:

— Będzie, jak Bóg zechce... Z Ludką ja już mówiłam; wie, że za dwa tygodnie ma być gotową iść do ołtarza. Dziewka prawi, że cię zna mało, ale zwlekać nie można, kiedy już koniecznie jechać pragniesz...

— Muszę, muszę; nie godzi się tak nagle i w niebezpiecznej chwili porzucać szczerych przyjaciół, jakimi zawsze byli Zborowscy dla mnie, którzy nadto są moi koligaci — mówił młody panicz, chodząc po pokoju i szarpiąc z niecierpliwością ogromny wąs czarny, — muszę, muszę, nie może inaczej być... chociaż... czasem nie widzi mi się to, co mówią i radbym aby mniej troszczyli się o dom swój, a więcej o dobro Ojczyzny... Oni przecież...

Nie dokończył pan Marek swej myśli, lecz stanął zwrócony ku drzwiom, a twarz mu dziwnie pojaśniała. Do komnaty weszła cicho Ludka i zatrzymała się w progu, ujrzawszy Siekierzyńskiego; ale pani Elżbieta dała bratu znak, aby opuścił pokój, co też natychmiast uczynił, skłoniwszy się nisko.

Sierota zbliżyła się do łóżka swej opiekunki.

— Jak się ciotuchna czuje? — spytała tkliwie, a z pewną nieśmiałością.

— Słabo mi okrutnie, moje dziecko, zmęczyła mnie rozmowa z panem Markiem. Mówiliśmy tu właśnie o nieszczęściu, jakie dotknęło naszą ziemię, o śmierci królewskiej; ale bo ty pewnie jeszcze nic nie wiesz?

— O, wiem. Goniec od panny Wisłockiej opowiadał dworskim z jaką przybył wieścią; na całym zamku o niej tylko mówią.

Pani Elżbieta leżała długą chwilę ze zamkniętemi oczyma, a Ludka wpatrywała się w nią z niepokojem i serdecznem przywiązaniem. Wreszcie chora podniósłszy ociężałe powieki, szepnęła:

— Bardzom znużona i śpiąca.... pragnęłam z tobą pomówić, drogie dziecko, ale dziś już nie mogę... jutro dość będzie czasu. Idź ty też spocząć dziś, panna Agnieszka będzie przy mnie czuwała.

— Niech ciotuchna pozwoli, abym ja została tu na noc, panna Agnieszka stara, może się zdrzemnąć i nie czuwać dość bacznie.

Pani Gorajska uśmiechnęła się, położyła rękę na głowie Ludmiły i odparła:

— Nie, nie; tyś już dwie noce nie spała. Panna Agnieszka stara, to właśnie sen od niej ucieka. Idź się położyć, ja tak każę; jutro rano przyjdziesz do mnie. Lecz teraz już idź, idź, moja córko, a Bóg i łaska Jego niech zawsze będzie z tobą.

Tu pani Elżbieta przeżegnała sierotę, która ucałowawszy jej ręce z uczuciem, poszła wezwać starej a wiernej sługi i powiernicy swej opiekunki.

Panna Agnieszka była to staruszka sześćdziesięcioletnia, niska i szczupła, ale żwawa jeszcze; całem sercem kochała ona panią Gorajską, uwielbiała Ludkę, która w jej oczach tak cudnie wyrosła, a bała się nieco pana Marka i nie lubiła go od czasu, gdy zapytany kiedyś o zdanie przez siostrę, zganił formę czepeczka, którą panna Agnieszka wymyśliła dla swej pani, a z której była bardzo dumną, uważając czepeczek za ósmy cud świata.

Odtąd mawiała zawsze, że pan Siekierzyński nie ma ani dobrego gustu, ani respektu dla starszych, ani przenikliwości, bo powinien był domyślić się, że czepeczek wymyśliła ona i pochwalić choć z grzeczności.

Dziś zacna staruszka miała oczy czerwone od płaczu, bo choroba pani Elżbiety niezmiernie martwiła przywiązaną sługę. Kiedy więc ją Ludka we-



Wejść czy nie wejść na kieliszek?

zwała do swej opiekunki, podreptała prędko do pokoju chorej, wzdychając i obcierając nabrzękłe powieki.

Rozkazawszy służebnej przynieść garnuszek rosołu, napoiła nim panią Elżbietę, poprawiła jej kołdrę i poduszki i zaczęła odmawiać głośno długie, wieczorne modlitwy, które pani Elżbieta, leżąc ze zamkniętemi oczami, po cichu powtarzała.

Wczesny wieczór grudniowy zapadał szybko; w komnacie zapanował mrok szary, tylko mała lampka, paląca się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, rozpraszała nieco ciemności. Panna Agnieszka skończywszy wieczorne modlitwy zasiadła w dużem krześle i jęła przesuwać ziarnka różańca, który zawsze nosiła przy sobie. Szepcąc pacierze i wzdychając na przemiany, to znowu wpatrując się w chorą panią, która wśród modlitwy zasnęła, przesiedziała staruszka jednę i drugą godzinę, odpędzając sen z powiek. W końcu jednak znużenie przemogło i sen, mimo starości panny Agnieszki, wziął ją w swoje objęcia i ukołysał na noc całą. W wielkiem, wygodnem, poręczowem krześle, z nogami wspartemi na miękkiej poduszce, przespała starowina długą noc zimową.

Dopiero, gdy na wschodzie pokryło się niebo purpurą, a pierwsze złociste strzały wschodzącego słońca wtargnęły do komnaty, stara panna zerwała się z krzesła i własnym oczom nie wierząc, aby to dzień już był jasny, podniosła obie ręce w górę i wykrzyknęła:

— O dla Boga! Cóż się to stało? Toć ja chyba noc przespałam, jak jednę chwilę!

Ale wtem przelękła się bardzo, przypomniawszy sobie, że jest w pokoju chorej, którą niebacznem, zbyt głośnem wołaniem przebudzić może. Zbliżyła się więc do łóżka pani Elżbiety, a widząc, że ta spoczywa nieporuszona, wpatrzyła się w nią pilnie. Dziwna, sina bladość twarzy i sztywny, martwy układ całej postaci przeraził pannę Agnieszkę; dotknęła lekko ręki, spoczywającej na piersiach, lecz ręka była zimna jak lód. Staruszka stała chwilę jak gromem rażona, potem załamała nad głową ręce i z przeraźliwym krzykiem padła na kolana przy łóżku. Wierna sługa poznała, że ukochana jej pani zasnęła snem wiecznym, nieprzespanym.

Na krzyk sędziwej panny wpadła najpierw dziewczyna służebna, czuwająca w pobliżu, na jej głośne wołanie i zawodzenie zbiegł się dwór cały do pokoju pani Gorajskiej, która uśmiechnięta, z rękoma na krzyż złożonemi leżała na wspaniałem łożu i zdawała się śnić sny słodkie, tak pogodne i wesołe było oblicze zmarłej.

Wielka, żałobna komnata zapełniła się wnet sługami i domownikami, którzy płacząc cisnęli się do łoża, chcąc się naocznie przekonać o nieszczęściu.

Tuż przy łóżku, zanosząc się od płaczu, klęczała niepocieszona Ludka; serce pękało z żalu niebodze, że opiekunka jej zeszła ze świata, a ona nie przebłagała przybranej matki za swoją winę, jak teraz nazywała w myśli swoje małżeństwo, nie wyjawiła jej prawdy, nie odkryła swego serca, swej gorącej miłości dla Adama.

Pan Marek stał tuż przy sierocie i z wielką żałością wpatrywał się w twarz zmarłej siostry, to znowu ze współczuciem i miłością spoglądał na zapłakane, pobladłe, a jednak śliczne lica Ludmiły.

Nakoniec, gdy domownicy zmówiwszy wieczny odpoczynek za zmarłą, zaczęli jedni po drugich opuszczać smutny przybytek śmierci, i sama tylko panna Agnieszka została, pan Siekierzyński pochylił się nad Ludką łkającą wciąż boleśnie i biorąc delikatnie panienkę za rękę, rzekł serdecznym, lecz łzami tamowanym głosem.

— Pohamuj tę srogą żałość, waćpanna i uspokój się przecie, a przestań płakać, bo snadno zdrowiu swojemu zaszkodzić możesz.

A gdy Ludka wysunąwszy rękę z dłoni młodzieńca, lekko zarumieniona, powstała z ziemi, pan Marek mówił poważnie dalej:

— Wiem-ci ja, biedna sieroto, że drugą, ukochaną matkę straciłaś w zmar-

łej, ale i ja pozbyłem najlepszej siostry, która mnie tak jak i ciebie wychowała. Ja będę się starał zastąpić tę wielką stratę, a i waćpanna, byleś tylko chciała, możesz zmniejszyć moje nieszczęście. Tu przy zwłokach tej naszej matki prawdziwej przyrzekam ci opiekę... i jako sama.... Ależ na Boga! uspokój się, waćpanna, i nie rozpaczaj tak! — zawołał młody panicz z niepokojem, gdy Ludka na ostatnie jego słowa nowym wybuchła płaczem i zachwiała się na nogach.

Pan Marek podał szybko sierocie ramię, ale ta nie przyjąwszy go, rzekła łagodnie, lecz zimno:

— Dziękuję waszmość panu za jego dobroć. Ale teraz pozwolisz, że się oddalę — i nie czekając odpowiedzi, chwiejnym krokiem wyszła z komnaty.

Pan Siekierzyński zaś wezwawszy jednę ze starszych kobiet, polecił jej troskliwie czuwać nad młodą panią, której wielki smutek i zimna obojętność zbudziły jakąś obawę i złe przeczucia w sercu gorąco kochającego młodzieńca.

Ludmiła znalazłszy się sama w swej komnacie padła na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, i ze łzami gorąco się modliła. Szczera, serdeczna modlitwa zawsze przynosi pociechę i ukojenie, więc też młoda sierota powstawszy z ziemi znacznie spokojniejsza, jęła rozmyślać nad swem położeniem i zastanawiać się co dalej uczynić, jak wybrnąć z przykrego kłopotu, w który wprowadziło ją silne przywiązanie do dziarskiego rotmistrza i niedoświadczenie młodości.

Chodząc więc po pokojach, ułożyła sobie aż do dnia pogrzebu pani Elżbiety nie opuszczać swego mieszkania, nie przyjmować w niem nikogo i w ten sposób uniknąć rozmowy z panem Siekierzyńskim. Po oddaniu zaś ostatniej przysługi swojej opiekunce, postanowiła oświadczyć jej bratu, że dom jego opuszcza i natychmiast wyjechać do Warszawy w towarzystwie panny Agnieszki i jednej służebnej dziewczyny, a pod opieką Semena, który choć sługa, ale szlachcic zaściankowy, był w wielkiem poważaniu u pani Gorajskiej, a sam pan Adam wybrał go na towarzysza podróży swej małżonki.

— W Warszawie — myślała sobie Ludka — z pomocą Adama, zdołam może odszukać moją rodzinę, która do dziś ma mnie za umartą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŚNIEŻYCA.

Zahuczały, zaświstały
Wichry w srebrny róg:
Leci, leci tuman biały
Aż na chaty próg.

Na tej chaty próg lipowy,
Co ochrania nas,
Co otula nasze głowy
W złej śnieżycy czas...

A ja stoję u okienka,
A ja patrzę w dal, —
Milknie, cichnie ma piosenka,
Serce chwyta żal...

Oj, nie jedna tam sierota
Na tem zimnie drży,
Wiatr chuściną biedną miota,
A mróz ścina łzy...

O, ty chato nasza droga!
Rozszerz ściany swe:
Pójdź sieroto, dziecię Boga,
My utulim cię.



POCIECHA RODZICÓW.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

(Dokończenie).

Święty Bazyli tak dalej pisze o poście: Jak żył Elizeusz? Jak go ugościła Sunamitka? Jak przyjmował sam innych? Podawał im nieco ziela i mąki, tem ich ugościł. Ci, którzy spróbowali kolokwintów, byliby prawie umarli, gdyby modlitwa męża świętego nie była pożywieniu odebrała trucizny. W ogóle widzimy jako post wszystkich świętych prowadził do nieba niejako za rękę. W piecu ognistym trzech młodzieńców jaśniało jak złoto, przezwyciężyli niszczącą moc ognia i okazali się twardszymi jak złoto. Ogień ich się nie czepił, nic im się nie stało. Ogień podniecano obficie żywicą i drzewem, płomienie silnie buchały z pieca. Wszystko ogień zniszczył, nawet kilku Chaldejczyków zostało spalonych. Siłę ognia zgasili młodzieńcy postem. W pośrodku pieca oddychali powietrzem czystem i świeżem. Nawet włosów ich nie imał się ogień, ponieważ zahartowali ciało postem. Daniel, mąż tęsknoty, przez trzy tygodnie nie jadł chleba, nauczył pościć lwów, kiedy do jaskini wrzucony został. Kły lwów nic mu nie mogły zrobić, jakoby był uformowany z kamienia, żelaza albo z czegoś jeszcze twardszego, tak post pokrył ciało jego jakoby żelaznym pancerzem i lwy go pokonać nie mogły. Mojżesz nie byłby się odważył wnijść na górę gorejącą i w ciemności okrywającą takową, gdyby przedtem nie był zahartował ciała swego postem. Poszcząc przyjął tablice zakonu. Na wierzchołku góry przez post udzielił Bóg prawo Starego zakonu, a u spodu góry niemierność doprowadziła do bałwochwalstwa. Czterdziestodniowy post sługi bożego zniszczyła pożądliwość ludu. Ponieważ tablice, na których pisał palec boży zostały złamane obżarstwem i opilstwem ludu, bo prorok uważał, że lud upiły nie jest godzien, aby Bóg mu był prawodawcą. Co uczyniło Ezawa obrzydliwym, co go uczyniło sługą brata? Czyż nie było to jadło, dla którego biedny stracił prawo pierworództwa? Kiedy Eliasz pościł 40 dni w jaskini góry Itosel, widział Boga, a widział go tak, jak tylko człowiek Boga widzieć może. Kto umarł na pustyni? Czyż to nie byli ci, którzy pragnęli mięsa? Pobili Egipcyan, suchą nogą przeszli przez morze, byli zdrowymi i silnymi w obozie, póki wystarczyła im manna i woda ze skały wyprowadzona cudem; lecz kiedy zapragnęli mięsa i rozkoszy egipskich, nie oglądali ziemi obiecanej. Daniel, mądry, nie byłby miał żadnego objawienia, gdyby oczu ducha swego nie był ku temu wydoskonalił postem. Z nadmiernych potraw powstają czarne wyziewy, które jakoby ciemna chmura zaciemniają światło, jakiem Duch św. oświeca ducha naszego. Lekki sen, z którego łatwo się obudzić zwykle towarzyszy postom; sami się budzimy, mianowicie kiedy wielkie sprawy zajmują ducha naszego. Kogo sen tak trzyma, że kiedy mu się oddaje, nieczyste mamidła wyobraźni mu ukazuje, ten zostaje codziennie w niebezpieczeństwie śmierci. Kiedy Mojżesz chciał otrzymać po drugi raz tablice przykazań, znowu ciało swoje umartwił postem. A czyż razem z Niniwitami nie pościły zwierzęta nierozumne, czyż przez to nie uniknęły zagrożonej zagłady? Wielkie korzyści przynosi post rodzajowi ludzkiemu. Post sprawił, że Bóg cofnął wyrok zagłady wydany na Niniwe. Przez trzy dni słychać było głos: »Niniwe zaginie.« Lecz ludzie nawrócili się do Boga. Groźby ucichły, i chociaż Jonasz przepowiedział zagładę prawdziwie i szczerze, to Niniwici postem wstrzymują wypełnienie groźby, i szczerym żalem, przyznaniem się do winy, modlitwą i poprawą okupili sobie ratunek.«

Tak pisze ś. Bazyli o poście. Oprócz reguł dla swego zakonu i wielu listów, z których jeszcze pozostało 336, napisał św. Bazyli wiele dzieł naukowych i pobożnych, które go tak wsławiły, że zo-

stał policzony do czterech wielkich doktorów Kościoła greckiego ze św. Atanazym, św. Grzegorzem Nacyanceńskim, św. Janem Chryzostomem. Pisma św. Bazylego są niespożytem świadectwem jego wiary i pracy.

GALWANIZM.

Dełno wielkich, cudownych sił Bóg złożył w naturze. Człowiek na wiele skutków tychże sił patrzał, lecz nie poznał ich natury i dla tego nie umiał z nich korzystać, wynalazł takowe z czasem. Do największych sił w naturze należy elektryczność, która dziś służy do coraz więcej rzeczy ludziom. Skutkiem elektryczności jest galwanizm, o którym z początku myślano, że to jest nowa siła odrębna od elektryczności. Później poznano, że źródłem galwanizmu jest elektryczność.

Elektryczność sama działa przy konduktorach, odgromach (blitzableiter) umieszczonych na dachach budynków, aby piorun nie uderzył w budynek, lecz po drucie zeszedł w ziemię. Galwanizm zaś służy do telegrafów, elektrycznych maszyn, elektrycznego światła, galwanoplastyki (pozłacania, posrebrzania i t. d.) za pomocą elektryczności. Niewiedzieć do czego on jeszcze posłuży, bo coraz nowsze wynalazki w tym kierunku.

Skutki elektryczności, które nazywamy galwanizmem najprzód zbadał uczony włoski, Galwani, zkąd pochodzi nazwa galwanizm. Inny włoski uczony, Volta (Wolta) lepiej jeszcze wytłómaczył, czem jest galwanizm. On to wykazał, że galwanizm nie jest osobną siłą natury, lecz skutkiem elektryczności. Raz powstaje elektryczność przez tarcie, drugi raz przez dotknięcie. Ten drugi gatunek elektryczności nazywa się galwanizmem.

Galwani odkrył tę regułę i siłę w naturze: wszędzie, gdzie dwie różne rzeczy się stykają, tam powstaje elektryczność.

Nie można wprawdzie zawsze poznać elektryczności, kiedy dwa ciała (rzeczy) się zetkną, ponieważ za mało tam elektryczności się wyrabia, lecz z pewnością wszędzie powstaje elektryczność. Najlepiej takową poznać, kiedy się położy na blaszkę miedzianą (koprową) blaszkę cynkową, takie jak talary, to można poznać za pomocą delikatnych instrumentów, że przez samo dotknięcie tychże metali powstaje elektryczność. Ważną jest rzeczą, aby sobie tej sprawy nie wyobrażać fałszywie. Dla tego dobrze trzeba wiedzieć, co się dzieje, kiedy dwa kawałki metalu się zetkną.

Kawałek miedzi jako i kawałek cynku mają w sobie (jak wszystkie rzeczy na świecie) ową tajemniczą siłę, którą nazywamy elektrycznością. Nazywamy siłę tę tajemniczą, ponieważ wiemy, że jest, wiemy w jaki sposób ją wywołać, wiemy jakie ma skutki, do czego można jej użyć, lecz nie wiemy czem jest elektryczność. Elektryczność jest dwojaka, pozytywna i negatywna. Oba gatunki elektryczności znajdują się w kawałku miedzi i w kawałku cynku i łączą się ze sobą. Miedź sama nie okazuje elektryczności, ponieważ takowa się pokazuje dopiero wtenczas, kiedy elektryczność pozytywną odłącza się od elektryczności negatywnej. Również sam cynk nie okazuje elektryczności. Skoro za położy się miedź na cynk, zaraz elektryczność zaczyna działać. Nim się miedź zetknie z cynkiem, to w każdym metalu dwa gatunki elektryczności się równo ważą, cicho stoją jak waga, w której po obu stronach równe są ciężary. W każdym kawałku metalu jest siła elektryczności pozytywnej równa, żadna nie przeważa i dla tego nie znać elektryczności. Skoro się metale zetkną ze sobą, wtenczas równowaga dwóch gatunków elektryczności się psuje. W jaki sposób i czemu, tego znowu nie wiemy. Dzieje się to, co z wagą, na którą z jednej strony kładzie się większy

ciężar aniżeli na drugą, waga przedtem spokojna, rusza się.

Najdziwniejszą rzeczą jest jednak to, że dwa gatunki elektryczności skoro się rozłączą przez to, że dwa metale się zetkną, nie rozłączają się na chwilę jednę, aby później znowu się złączyć, lecz rozłączają się na zawsze.

elektryczność pozytywna, w miedzi negatywna. Każde ciało, czyli każda rzecz, składa się z drobniusieńkich części, ktore się nazywają atomy. Z atomów składa się też miedź i cynk. Być tedy może, że atomy się poruszają w tych miejscach, w których drut jest przylutowany do kruszców. Atomy drżą niejako. Wi-



Kaplica podziemna w Bochni. (Obacz objaśnienia rycin na str. 80).

Jeżeli się przylutuje kawał drutu do miedzi i do cynku, i jeżeli się druty wetknie w ziemię, to przez druty przechodzi ciągle prąd elektryczny, choćby przez kilka lat. Póki kawałek miedzi styka się z kawałkiem cynku, tak długo dwa gatunki elektryczności w metalach tych są rozłączone, lecz w cynku jest

dzieć tego nie możemy, ponieważ atomy są za drobne. Ponieważ atomy drżą, dla tego atomy miedzi trą się o atomy cynku, a każde tarcie wywołuje elektryczność. Dwa kawałki metalów różnych położonych na sobie jest niejako elektryczną maszyną, z której ciągle elektryczność wychodzi, póki maszyna jest w ruchu.

Elektryczność, która powstaje przez to, że dwa metale się stykają, nazywa się galwanizmem. Nazywają też galwanizm elektrycznością ruchu, ponieważ trwa ciągle. Siłę galwanizmu nazywają siłą elektromotorową.

Różnica pomiędzy elektrycznością z tarcia a elektrycznością ze zetknięcia jest taka:

Jeżeli się uczyni ciało (rzecz) jakie elektrycznem przez tarcie, to elektryczność powstaje powoli, zbiera się w kuli maszyny elektrycznej. Jeżeli się zastawi elektryczność w kuli przez to, że się kuli żadnym metalem nie dotknie, to elektryczności tyle się zbierze, że wyskakuje jako iskra, skoro się palcem dotknie kuli. W jednej chwili cała zebrana elektryczność wylatuje, jakby wystrzelił z pistoletu, który trzeba na nowo nabić.

Z elektrycznością galwaniczną jest inaczej. Źródłem tej elektryczności jest to, że dwa metale się stykają. Elektryczność powstaje na tem miejscu, na którem metale się stykają. Jeżeli się elektryczności nie odprowadza, to nie rośnie, pozostaje małą. Jeżeli się elektryczność z metalów i z miejsc, w których się stykają dalej prowadzi, to ciągle na nowo się wytwarza. Elektryczność płynie jakoby woda ze źródła. Galwanizm nie działa tak silnie jakby wystrzelił z pistoletu, lecz działa ciągle podobnie jak woda, która pędzi młyny. To jest wielka różnica, bo elektryczności z tarcia dotychczas praktycznie nie można wiele użyć, kiedy elektryczność galwaniczna coraz więcej ludziom praktycznych oddaje usług.

Powiedzieliśmy, że w metalach atomy niejako drzą, lecz to było tylko dla podobieństwa, w rzeczywistości inaczej się dzieje. O czem później.

OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Teatr narodowy w Pradze.

Divadlo czeskie! W słowie tem spoczywa znaczna część historyi czeskiego odrodzenia i dla tego nie wahamy się poświęcić temu przedmiotowi osobnego działu. Zasługuje na to zupełnie. Mało, bardzo mało teatrów, w sprawie odrodzenia duchowego społeczeństwa, ma tak wielkie znaczenie, jak teatr czeski w Pradze; to też historya jego stanowi jedną z najważniejszych kart życia umysłowego w Czechach. W świecie szerokim dużo jest teatrów, a jednak żaden nie jest takim wzniosłym pomnikiem czynności ducha ludzkiego, jak ów na brzegach Wełtawy. Teatr ten przedstawia jasny obraz, w jak smutnem położeniu naród czeski się znajdował, jak rozpaczliwy był los jego, gdy najbliżsi sąsiedzi, Niemcy, byli już doszli do najświetniejszego rozwoju; ale i uczy zarazem, jak olbrzymi i szybki postęp musieli Czesi uczynić, aby mogli się dzisiaj uważać na równi z narodami, które o lat sto w życiu umysłowem Czechów uprzedziły.

W epoce, gdy we Francyi, w Niemczech, we Włoszech, w Polsce, sztuka dramatyczna już się znajdowała w pełnym rozkwicie, gdy literatury tych narodów były już wiele znakomitych płodów wydały, w epoce tej Czesi jeszcze ani teatru, ani artystów dramatycznych i zresztą ani pisarzy, ani też publiczności teatralnej niemieli! Praga, caput regni, owa przesławna Praga staroczeska, rezydencya czeskich królów i czeskiej szlachty, owo serce całego kraju, miała tylko teatr niemiecki i długo, długo na nim przestawać musiała!

Lubo już przed rokiem 1830 niejeden patryota czeski nad tem pracował, aby w teatrze pragskim grywano i po

czesku; praca ta długo była bezskuteczną prawie zupełnie i sześćdziesiąt dwa lat upłynęło, nim czeska sztuka dramatyczna uzyskała własny dla siebie dom, w którymby swobodnie mogło brzmieć słowo czeskie i porywać do miłości i sympatyi względem spraw swojskich. Przypatrzmy się w krótkości szlachetnym i tak długo bezowocnym zabiegom, aby lepiej ocenić stan dzisiejszy czeskiego teatru.

Gdy w wieku osiemnastym stały teatr w Pradze otwarto, dyrektor jego, w roku 1777 sprobował gry i w czeskim języku, ale po pierwszem przedstawieniu przedsięwzięcia tego zaniechał i dawał po dawnemu tylko sztuki niemieckie, choć z dniem każdym ożywiał się duch narodowy, a grono patryotów i miłośników języka ojczystego wzrastało. Później jeszcze robiono różne próby: w różnych miejscach występowali amatorzy w teatrach amatorskich po czesku, nim w r. 1790 pozwolono nareszcie grywać też sztuki czeskie w Pradze, co niedziela i święto, między godzinami czwartą a szóstą po południu, t. j. przed wieczornem przedstawieniem niemieckim. Grywano wtedy przynajmniej raz w tygodniu.

Ale to miłosierdzie niemieckie trwało bardzo niedługo, bo już w roku 1806 zakazano czeskich przedstawień, podając za przyczynę, że teatr między popołudniowem czeskiem, a wieczornem niemieckiem przedstawieniem, nie może się dosyć przewietrzyć. Sztuka więc czeska dramatyczna musiała znowu — jak sierota wydziedziczona — po prywatnych domach się tułać. Jak jednak był potrzebnym i pożądanym teatr czeski, najlepszym jest dowodem ta okoliczność, że gdy hrabia Kolowrat-Krakowsky, wówczas najwyższy burgrabia czeski, w roku 1815 pozwolił dać kilka przedstawień czeskich w teatrze niemieckim na rzecz biednych, uzyskano ztąd sumę prawdziwie pokaźną, bo wynoszącą 17,614 guldenów.

Na jakim stopniu mogła się znajdować sztuka dramatyczna czeska, nim posiadała swój własny teatr, łatwo sobie przedstawić, zważywszy, że nie było własnych artystów i że z tej przyczyny pospolicie jakiś statysta, z teatru niemieckiego, lub amator w najściślejszem znaczeniu słowa grał role bohaterskie z Szekspira, Szyllera lub w dramatach oryginalnych po czesku. Dopiero między rokiem 1830 do 1850 pokazały się w Czechach rzeczywiste talenta dramatyczne, z których niejeden aż do dziś dnia jest chlubą i ozdobą rozwiniętej już sceny czeskiej. Nawiasem notujemy, że i wskrzesiciel czeski i pisarz niezmiernie zasłużony, Jan Kajetan Tyl, czynnym też był jako artysta dramatyczny.

Co się tyczy publiczności teatralnej owego okresu, składała się ona przeważnie z patryotów (»wlastenców«) którzy nierzadko bardziej przez patryotyzm niż dla rozrywki do teatru chodzili. Przytaczamy dla charakterystyki urywek z ówczesnej patryotycznej korespondencyi (do T. Buriana 1838 roku): »Mój drogi patryoto! Powinniśmy pilnie uczęszczać na czeskie przedstawienia, żeby nam nie mogli Niemcy powiedzieć, iż nie mamy swej publiczności... Powinniśmy chodzić do teatru zawsze, nawet wtedy, gdyby to nam przykrość sprawiało — to już nasza służba«. »Prócz patryotów« chodzili też do czeskiego teatru przeważnie rzemieślnicy i lud. Arystokracya i bogacze większą częścią nie grzeszyli przeciw dobremu tonowi i zbliżali się tylko wyjątkowo do miejsc, gdzie brzmiał język czeski. Mimo to scena czeska oddziaływała jak najkorzystniej na obudzenie ducha narodowego, a zatem i na całe odrodzenie. Rzetelne ślady pokazywały się jak w Pradze, tak na prowincyi, gdzie urządzano coraz więcej przedstawień amatorskich, głównie staraniem młodzieży. Zapał, do jakiego porywała sztuka dramatyczna lud czeski, był niesłychany; samo przez się rozumie się, że wpływ ów zawdzięczać należy przedewszystkiem dramatycznej literaturze czeskiej, która tak silnie zdołała elektryzować poczucia narodowe. Na scenie i nigdzie więcej, nie słyszała publiczność czeska sympatycznych ech przeszłości swej. Na scenie i nigdzie

więcej znów nie ujrzeli Czesi panów i królów po czesku mówiących, językiem ojczystym niepogardzających, tam tylko widzieli choć scenicznie przeszłość swą z zupełną potęgą, powagą i miłością. Na scenie nie spotykano ludzi wyśmiewających się z narodu, ani lekceważenia, jakie w rzeczywistości dążenia czeskie otaczało. Nawet w przypadku, gdyby scena czeska jedynie sposobności słyszenia języka ojczystego dostarczała, już wtedy miałaby ogromne znaczenie, co też najzupełniej się udowodniło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORYA SIODŁA.

»Dacie więcej okryć na konia, niż na łoża i myślicie więcej o tem, aby wam wygodniej było siedzieć, niż aby dobrze jeździć« tak żartowali Grecy ze zniewieściałych Persów, gdyż ich zdaniem, wstyd było człowiekowi w pełni męzkich sił siedzieć na rumaku inaczej, niż na oklep.

Jazdę na miękkiem siodle, na sposób perski w Sparcie uważano za obyczaj niegodny męzkiego chartu. W czasach Greków i Rzymian, podobny sposób jeżdżenia nie godził się z pojęciem rycerskości. Każdy jeździec powinien był umieć jednym skokiem z ziemi wsiadać na konia. Tej zręczności uczono się od młodych lat. Jak dziś drewniane, skórą okryte konie, służą przy rozmaitych ćwiczeniach gimnastycznych, tak w czasach starożytnych, takież drewniane konie służyły młodym ludziom do nauki wskakiwania i zeskakiwania z koni prawdziwych. Z początku ćwiczenia takie odbywali nieuzbrojeni, w miarę jak się wprawiali, kładli całkowitą zbroję. Jeźdzcy niewojskowi już i wówczas czynili sobie rozmaite wygody, zwłaszcza starzy, lub ułomni okrywali konie derami, lub skórami, by mieli miękkie siedzenie. Przy wsiadaniu pomagali im słudzy; mieli także czasami rumaki, które przyklękały na rozkaz. Dla tego rodzaju jeźdzców, w miejscach publicznych np. na rogach ulic umieszczano kamienie, które ułatwiały wsiadanie na konia. Znakomici jeźdzcy używali w tym celu stołków, które niewolnicy nosili za nimi. Wojna zwycięzkim wojownikom nastręczała często sposobności do okrutnego zwyczaju, mianowicie pojmanych nieprzyjaciół obalano około koni, by depcząc po nich, ułatwić sobie wsiadanie.

Nakrycie na konie po raz pierwszy spotykamy w wojsku rzymskiem za Juliusza Cezara. Opowiada on, że Niemcy nie używają koni zagranicznych, lecz swych krajowych, które jakkolwiek źle zbudowane i niepozorne, przez codzienne ćwiczenia nabrały wielkiej wytrzymałości i że zdaniem tychże Niemców, nie ma nic szkodliwszego, nad okrywanie okryć na konie.

Pod koniec drugiego stulecia, już i Niemcy zaczynają zaprowadzać siodła. Na kolumnie zwycięstwa Marka Aureliusza widzimy na płaskorzeźbie przedstawiającej zawarcie przymierza dwóch książąt niemieckich, jednego z nich na koniu z siodłem skórzanem płaskiem, przypominającem dzisiejsze angielskie, przymocowanem pasem, lecz bez strzemion. Siodło u Niemców przez czas bardzo długi było rzadkością i w wojsku rozpowszechniło się dopiero w siódmem stuleciu.

Rzymianie już za czasów Cezara używali na konie grubych okryć. Właściwe siodło, podobne do dzisiejszego, wynaleziono dopiero w czwartem stuleciu. Cesarz Teodozyusz w roku 385 wydał rozporządzenie, iż kto chce używać koni pocztowych, nie powinien mieć siodła. Owe siodła zwą się »sellae«, lub »sedila.« Łęk w nich był tak wysoki, iż siodła te podobne były do siedzeń z poręczami.

Używanie siodeł upowszechniło się w czwartem i piątem stuleciu. Uważano

je nietyle za niezbędny przyrząd do jazdy, ile za ozdobę. Prości jeźdzcy używali zwykle skóry lub czapraka. Skórom niedźwiedzia i pantery oddawano pod tym względem pierwszeństwo. Ludzie bogaci za to w ozdobach siodeł rozwijali wielki zbytek. Cesarz bizantyjski Lew (457—474 roku) musiał zakazać wysadzania siodeł perłami i drogimi kamieniami. »Na przyszłość zabrania się używania cugli, siodeł i popręgów ozdobionych perłami, szmaragdami i hiacyntami, natomiast, zezwala się na ozdoby z innych kamieni.« Tak brzmi wspomniane rozporządzenie.

W szóstem stuleciu wprowadzono używanie strzemion. W opisie wojny, toczącej się według wszelkiego prawdopodobieństwa za panowania greckiego cesarza Maurycyusza, znajdujemy po raz pierwszy wzmiankę o strzemionach, nazwanych wówczas »scala«, t. j. stopnie. »Każdy jeździec winien mieć przy sobie dwa żelazne stopnie — czytamy tam. — Jeźdzcy, którzy rannych mają uwozić z pola walki, powinni mieć z lewej strony po dwa żelazne strzemiona, jedno z przodu, drugie z tyłu siodła, żeby rannych mogli zabierać sadzając na konia za sobą.«

Starożytni Niemcy szydzili często z czapraków, używanych przez Rzymian. Jak te czapraki wyglądały, o tem można przekonać się z płaskorzeźb na kolumnie Trojana. Widać tam jeźdzców rzymskich, których konie posiadają ozdoby na piersiach, czole i nakrycia, zwieszające się do ziemi, z brzegami ząbkowanymi, okolonemi frendzlą. Nakrycia te są przymocowane rzemieniami, które od ogona z obu stron biegną i łączą się na piersi i również ozdobione są zwieszającemi się frendzlami. Niemcy przeciwnie jeździli na nagim grzbiecie koni. Do wskakiwania i zeskakiwania od młodego wieku nabierali wielkiej wprawy. Rzymianie podziwiali ich pod tym względem. Konie były tak wyuczone, iż gdy jeździec zeskakiwał, stawały, jak wmurowane a ruszały z miejsca, gdy jeździec wskoczył znowu na konia.

Siodła ze strzemionami upowszechniły się w siódmem stuleciu. Od tego czasu do rzędu rzemieślników przybywa siodlarz: »sellator«, po francusku »sellier«, Jego warsztat nosi nazwę »sellare,« słowu siodłać odpowiada »in sellare.« Ich sztuka zasadzała się zazwyczaj na wyuczeniu konia, by na podobieństwo wielbłąda klękał, gdy pan chciał go dosiąść. Konie były siodłane wysoko, jak to obecnie jeszcze praktykuje się na Wschodzie. Wysokie, artystycznie wyrobione tureckie i perskie rzędy na konie, ozdobione wspaniałymi haftami i drogimi materyami, dają nam dziś pojęcie o tych arcydziełach kunsztu siodlarskiego, które jeszcze w wiekach średnich były w powszechnem użyciu u bogatej szlachty.

Wysokie siodła, jakich niektóre plemiona, np. kozacy duńscy, po dziś dzień używają, ułatwiają znacznie siedzenie i wzmacniają jeźdzca na koniu. Stopniowo jednak zaprowadzono coraz większe odstępstwa od tej formy i wyrabiano siodła, coraz lżejsze i mniejsze.

Jak wysoko posunięta była sztuka siodlarstwa, o tem świadczy opis siodła, zrobionego w Strasburgu 1649 roku, o którem wówczas krążyło opowiadanie, jako o arcydziele. W kieszeniach siodła mieścił się namiot, stół składany, sześć stołków i zastawa stołowa na sześć osób. I strzemiona początkowo były tylko »stopniami«, zanim przekształciły się tak, jak je dziś widzimy.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kaplica podziemna w Bochni. Miasto Bochnia leży o 6 mil od Krakowa, niedaleko rzeki Raby. Słynie wielką kopalnią soli, którą tu od wielu wieków wydobywają. Początek tej kopalni odnoszą do r. 1251, za czasów św. Kunegundy, żony Bolesława Wstydliwego. Obecnie kopalnia składa się z czterech piętr podziemnych, w których kilka set robotników dostarcza rocznie około 400,000 cent. soli. Kaplica w podziemiach się znajdująca, została wykuta w soli w r. 1698. Ściany jej i posowa pokryte są różowym piaskowcem. Dawniej odprawiało się w niej nabożeństwo dla górników. Przy wejściu do niej znajduje się z soli wykuty posąg króla polskiego, Augusta II, a nieco dalej bardzo wielkie posągi czterech ewangielistów. Posągi te są bardzo starannie wykonane.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Gawęda polskiego pielgrzyma.

(Z „Przeglądu powszechnego“)

W niewielkiej, sklepionej, zda mi się, celi jednego z najstarszych klasztorów krakowskich, spotkałem temi dniami ciekawego gościa: polskiego pielgrzyma, co świeżo z Jerozolimy przybył, a obecnie wędruje do Rzymu. Bardzo skromny, ale czysty, szczególnej uwagi nie wzniecający szary jego strój; czarny, hebanowy włos dziwnie odbija od pomarszczonej, liczne ślady przebytych prac i cierpień noszącej twarzy; opodal leży nieodstępna towarzyszka drogi, spora torba, z różnemi świętościami, pamiątkami z Jerozolimy, z najniezbędniejszemi podróżnemi zapasami. Usiadł na kraju krzesła, ręce jak do modlitwy złożył, i na wezwanie gwardyana, który go już od kilku dni polskiem, franciszkańskiem sercem w klasztorze swym gościł, rozpoczął zupełnie czystym, bardzo poprawnym, dźwięcznym językiem opowiadać swe przygody, koleje, projekta. W rzeczywiste, doznane przygody wplątywały się czasem zasłyszane, z ust do ust podawane fantastyczne baśnie; nie mniej je nasz pielgrzym niż doznane przez samego siebie przygody za pewne uważał; nie mniej one od prawdziwych tych przygód ciekawe, bo rzucają ciekawe światło na to, co wieśniak, co drobny mieszczanin pod rosyjskim rządem sobie opowiada, co myśli, co czuje.

»Maszynistą byłem kolejowym. Długiem lata i wiernie służył, kontenci ze mnie byli — nigdy skargi, żałoby, broń Boże! Aż tu nagle, skąd, jak, czy ja wiem — mego szwagra ze służby wypędzają. Źle, myślę — aż tu i do mnie dekret przychodzi: »Od tego a tego dnia służyć nie będziesz«.

— Com zrobił? — pytam.

— Ano! trudno! — odpowiadają — Polak jesteś, katolik jesteś!

»Nie mogłem być maszynistą, tak byłem pisarzem gminnym. A potem myślę: Dał ci Bóg czas, dał ci Bóg zdrowie: idź do Ziemi świętej. I poszedłem. Mówili niektórzy ludzie: Jak ty tam zajdziesz, kiedy pieniędzy nie masz, języków różnych nie umiesz A inni, ruscy, to mi znowu mówili tak: »Po co ty do Jeruzalem idziesz? tam waszego katolickiego nic niema, tam samo ruskie nabożeństwo«. Mnie to strasznie męczyło, że Moskale tak w Ziemi świętej królują, ale dzięki Bogu odstraszyć się nie dałem i tak źle znowu nie jest, chociaż źle jest. Na wielkanoc zeszło się 4500 ruskiego, prawosławnego narodu do Jerozolimy, a »rzymskich« okropnie mało, bo »ruski« nie puszcza. W seminaryum greckiem będzie do 200 sztuk — jak maku! Ale choć ich tam dużo, to ich tam niema, bo nic zrobić nie mogą; przyjdą, pobędą, pokłony wybiją, ale nie dają im niteczki na palcu obwinąć. Żeby tak do czego przyszło, toby Araby poszły na ruskich, bo ich nie lubią.

»U nas, serce się kraje, ani religii, ani księdza, ani kazania. A w Jerozolimie nauka po nauce, i Msza po Mszy, i kazanie po polsku; prawda, że ludzi mało było. Rozmówić się też mogłem, bo po klasztorach spotykałem polskich braciszków zakonnych. Jeden przy Grobie św. z wileńskiej gubernii i strasznie go się Turcy boją. I w Jerozolimie i w Betleemie braciszki odważni, i muszą być odważni, bo Grecy bardzo łapczywi. i gdyby im pozwolić, toby wszystko zabrali. Ale muszą być spokojni, bo kabasów się boją. Stoi kabas z batem w ręku i nie pyta, tylko bije.

»Serce się radowało, jak w Jerozolimie słyszałem polskie kazanie; ale dopiero z powrotem w Podkamieniu słyszałem kazanie — co to było za kazanie! A u nas słowa bożego niema. Teraz księdza z Żytomierza na 12 miesięcy wysłali. Za to, że jeden ksiądz w przejeździe miał wotywę, a nie cichą mszę, zażądali, żeby biskup księdza ukarał, że on śpiewał, a nie czytał. Jak kapłan na ambonę wejdzie, to pod amboną stanie zaraz dwóch żandarmów i słuchają, pilnie słuchają. Ja nie wiem, dla czego cesarze rzymsko-katoliccy pozwalają tak się nad nami znęcać.

Dawniej w Warszawie było 48 klasztorów — Boże mój! Dziś jedna biedna seminarya u św. Jana. Kapłanów niema. Dziś bogacz umarł, czy jakiby nie był, jeden księżysko idzie. Szewcy, krawcy, garbarze straszni miłośnicy i odważni za religię swą; ale co pomoże, kiedy ruski silniejszy.

»Rusinom tu w Galicyi nieraz powiadam: Wy niewdzięczni, że narzekacie. Wam się nie spodobał austryacki cesarz wyznania polskiego, a nam się musi wszystko podobać. W Dedyrkałach dali księżom kapelusz, parasol, i idź precz! Kościelne rzeczy brali. Klucze gubernator wziął i powiedział: »Róbcie co chcecie!«

»Popom naszym prawosławnym śmiało powiadam: Wasze nabożeństwo całe na dzwonach, pokłonach, a ł ł e ł u j a c h! Jak wy chcecie, aby my nasze piękne katolickie nabożeństwo opuścili, a wasze wzięli! Ludzie się dziwią, że ja popom tak śmiało mówię — ale czegoż się mam bać? Pop gościnny, na nocleg do niego zajdę, to przyjmie, poczęstuje ale ja mu prawdę mówię: »Byłem w Ziemi świętej, to wiem, że wy tam nic nie znaczycie.«

»Oj! Ojcowie, Księża Dobrodzieje Przewielebni! źle się u nas dzieje i będzie gorzej, i P. Bóg będzie karał. Popi chcieli dwa miesiące temu struć cesarza. Kucharzowi naznaczyli 40.000 rubli, żeby cesarza otruł. On, niegłupi, powiada: Dajcie połowę naprzód, a jak otruję,

czarną flagę wywieszę. Kucharz powiedział wszystko cesarzowi i raz flagę czarną wywiesza. Popi przychodzą, aż dopiero wojsko ukryte się pokazało i wszystkich wyłapało...

»Cztery lata temu metropolita otruć chciał cesarza w komunikancie; ale protodyakon ocalił. Kazał śpiewać śpiewakom: »W i e c z n a - j a p a m i a t!« Car się zdziwił, zrozumiał co to ma znaczyć, i sołdatów zawołał...

»Może Pan Bóg dozwoli, że później lepiej będzie, bo o »naśledniku« mówią tacy, co go znają, że to będzie drugi Mikołaj Pawłowicz. Dobrzeby to było, bo to tamten był dobry.

»Teraz do Rzymu się wybrałem. Był już w Rzymie jeden od nas; tam szedł piechotą, napowrót jechał. Ja tam i napowrót piechotą, bo nawet jechać nie miałbym za co. Musiałem z Jerozolimy do Rosyi wracać, żeby sobie do Rzymu paszport wziąść. Do Lwowa od Odessy piechotą na Podkamień szedłem; czasem dobrzy ludzie na furkę przyjęli, podwieźli kawałek, ale w Galicyi mi się to nie trafiło. Różnie bywa, pogoda, niepogoda: wszystko niech będzie Bogu na cześć i chwałę... Ze Lwowa do Krakowa koleją przyjechałem, ale dalej piechotą pójdę...

»Pragnąłem duszą całą być w Krakowie, bo wiedziałem, że to część Królestwa Polskiego. Ono rozszczypane, ale my jedni. A co pragnąłem, to być na kazaniu, na Mszy...

»I teraz, da Pan Bóg Wszechmogący szczęśliwie do Rzymu powrócić, tego tylko pragnę, aby umrzeć pod dłonią chrześcijańską, przy świątyni. Żeby u nas były klasztory, jak dawniej, tobym nie pielgrzymował; może mię później do jakiego klasztoru tutaj przyjmą, a jeśli nie przyjmą, to raz jeszcze pójdę do Ziemi świętej. Niech to będzie Bogu na chwałę!

»Nie bardzo ja jeszcze stary, silne ręce mam, włosy czarne; przydaćbym się na co mógł. Tylko zmartwienie mię męczy z tego co się u nas dzieje — ale niech i to będzie Bogu na chwałę!«... *Ks. Jan Badeni.*

OŁTARZ.

Według pisma świętego już za czasów patryarchów ofiarowano Panu Bogu na ołtarzach, chociaż jeszcze nie było osobnych świątyń do modlitwy przeznaczonych. Noe, Abraham i jego potomkowie w otwartem polu lub na górach zrobili ołtarze, na których składali ofiarę całopalenia. Nazwa »ołtarz«, po łacinie »altare«, pochodzi od »altus« tj. wysoki, ponieważ zwyczajnie na wysokiem miejscu ułożono kamienie lub drzewo do ołtarza. Mojżesz, który według woli Bożej dał Izraelitom najważniejsze przepisy o obrządkach religijnych, rozporządził także, w jaki sposób i gdzie starozakonni kapłani mieli Panu Bogu ofiarować. W przybytku świętym i później w kościele Jerozolimskim był jeden ołtarz przeznaczony do ofiar całopalenia, drugi do kadzenia a trzeci do składania chlebów (u żydów były rozmaite ofiary).

Kościół chrześciański, który zna tylko jednę, ale najdoskonalszą ofiarę we mszy świętej, miał też tylko jeden ołtarz, na którym owa niekrwawa ofiara się odprawiała. Początkowo ołtarz miał kształt stołu; albowiem Pan Jezus siedząc u stołu przy ostatniej wieczerzy ustanowił ofiarę Mszy świętej. Ponieważ pierwsi chrześcianie przez pogan prześladowani często musieli się ukrywać, albo miejsce swych zebrań zmieniać, dla tego ołtarze były z drzewa, aby łatwo można je przenosić. W katakombach rzymskich odprawiano Mszę świętą często na grobach męczenników; ztąd powstał zwyczaj, że w każdym ołtarzu muszą się znajdować relikwie świętych. Od czwartego wieku, gdy nastała wolność religii chrześciańskiej, zaczęto stawiać kościoły wspaniałe i ołtarze z marmuru lub innego kamienia. Kamień miał symboliczne znaczenie, ponieważ Pismo święte nazywa Chrystusa, który na ołtarzu się ofiaruje, kamieniem węgielnym całego kościoła. Jeżeli dzisiaj ołtarz jest z drzewa lub murowany, znajduje się przynajmniej w środku, gdzie podczas Mszy św. hostya i kielich spoczywają, kamienna tablica przez biskupa poświęcona; w niej są umieszczone relikwie świętych. W kościele greckim od dawnych czasów zamiast tablic kamiennych używają się na ołtarze przenośne tylko obrusy poświęcone. U nas nie tylko środek, ale cały ołtarz trzema obrusami z czystego płótna powinien być przykryty, i to ze względów symbolicznych i praktycznych.

W pierwszych wiekach w każdym kościele był tylko jeden ołtarz wystawiony w środku presbyterium t. j. miejsca dla duchowieństwa przeznaczonego. W kościele greckim, gdzie każdy dzień wolno tylko jednę mszą św. odprawiać, dotąd stawiają tylko po jednym ołtarzu. U nas, wyjąwszy kaplice, bywają przynajmniej trzy ołtarze, jak św. Karol Boromeusz sobie życzy; wolno nawet więcej ich postawić na ozdobę kościoła i na cześć i chwałę Panu Bogu i jego służebnikom. Już we czwartem stuleciu stawiano więcej ołtarzy mianowicie w takich kościołach, przy których kilku kapłanów było ustanowionych. Papież Grzegorz Wielki, który żył na końcu szóstego wieku, opowiada, że za jego czasów w niektórych większych kościołach liczono 12 do 15 ołtarzy. Naturalnie w owych czasach ołtarze nie były jeszcze tak drogie i urozmaicone, jak dzisiaj. Dopiero w średnich wiekach zostały obrazy, figury, kwiaty itd. zaprowadzone; początkowo tylko krzyż był na ołtarzu, albo nad niem umieszczony. Obok niego podczas Mszy świętej znajdowały się przynajmniej dwie świece

gorejące, które dwojakie miały znaczenie. Raz świecono je na pamiątkę, że pierwsi chrześcianie w ciemnych katabombach sprawowali święte tajemnice, a po wtóre świece były godłem Pana Jezusa, który oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego. Dla tego też przed jego mieszkaniem czyli tabernaklem we dnie i w nocy pali się tak zwana wieczna lampa. Tabernakel, w którym przechowuje się Przenajświętszy Sakrament na pokarm dla wiernych, jest najgłówniejszą częścią wielkiego ołtarza i dla tego też powinien być najlepiej przyozdobiony i w największem uszanowaniu.

J. Piast.

Praktyczne rady.

— **O zaczadzeniu.** Czad jestto gaz, któren powstaje z palących się węgli lub drzewa, przy niedostatecznym przystępie powietrza. Jeżeli więc po niedokładnem wypaleniu w piecu klapę od komina zakręcimy, lub takowy zatkniemy, to przerywamy w ten sposób przeciąg powietrza, potrzebnego do palenia, a gazy szkodliwe, pomiędzy którymi czad, nie może ujść przez komin, zbiera się w pomieszkaniu i może dla jej mieszkańców stać się niebezpiecznym. Obecność tego gazu można poznać, jeżeli węgle w piecu tleją niebieskim płomieniem; jestto właśnie ten gaz płonący, wywiązujący się z węgli lub głowni; obecność jego również łatwo poznać po właściwej woni, która się w pomieszkaniu czuć daje, a którą swądem nazywamy.

Nie można nigdy być dosyć ostrożnym przy zamykaniu, po każdem wypaleniu w piecu. Pod żadnym warunkiem nie należy pieca pierwej zamykać skoro płomyk niebieski na węglach jeszcze jest widocznym; — a po zamknięciu, najmniejszy swąd, który uczujemy, ostrzegać nas powinien, że możemy zaczadzieć. Dwie głowienki, niedobrze wypalone, dostateczne są do sprowadzenia nieszczęścia.

Dla tego lepiej jest pół godziny później zamykać piece, jak kwadrans za wcześnie. Najzgubniejszem jest palenie w piecach przed samem udaniem się na spoczynek, gdyż człowiek śpiący czadu nie czuje, a nie przeczuwa o grożącem mu niebezpieczeństwie. Z tego powodu zawsze najbezpieczniej jest palić w piecach wcześnie z wieczora, tak aby przynajmniej na godzinę przed udaniem się na spoczynek było wypalone i dostatecznie czasu pozostawało do przekonania się, czy w mieszkaniu nie ma czadu. Zaczadzenie wywołuje silny ból głowy i nudności; zaś w większym stopniu sprowadza utratę przytomności i — śmierć.

Zaczadzonych należy jak najprędzej wynieść na świeże powietrze; głowę okłada się chustami maczanemi w dobrze ciepłej wodzie, nogi zaś naciera się śniegiem, a całe ciało nacierać trzeba flanelą wełnianą lub suknem, i przykrywa się chorego ciepłemi kołdrami.

— **Chcąc mieć dobry a tani błyszcz** (szuwaks), należy zrobić następującą mięszaninę: 1 część tłuszczu z nóg wołowych, 4 części spirytusu, 15 części gumy arabskiej, i sadzy tyle, aby mięszaninę na czarno zabarwić.

Rozmaitości.

* **Testament Lessepsa,** skreślony 1 maja 1889 roku został już otworzony. Nie przedstawia on położenia majątkowego zbyt świetnie, tak, iż głównym zasiłkiem wdowy i dzieci będzie renta, jaką w roku zeszłym przyznało Towarzystwo kanału Sueskiego swojemu twórcy i jego rodzinie. Okazuje się więc, iż przedsiębiorstwo Panamskie, na którem wielu porobiło miliony, pochłonęło cały a duży majątek Ferdynanda Lessepsa. W testamencie zmarły życzy sobie, aby starsi członkowie rodziny używali tytułu hrabiowskiego, oraz rozporządza czteryma cennymi przedmiotami pamiątkowymi: puharem srebrnym, ślicznie cyzelowanym (dar cesarzowej Eugenii) oraz trzema bronzami, pochodzącymi z ruin i wykopalisk Herkulanum. »Niech te pamiątki,« pisze, »zostaną w posiadaniu rodziny, ale niech potem oddane będą do Muzeum w Louvrze.« Dwaj najstarsi synowie (z pierwszego małżeństwa) mają się opiekować wraz z wdową, małoletnimi członkami rodziny. Tytuł hrabiowski, o którym mowa, otrzymał ojciec testatora w r. 1815, na schyłku panowania Napoleona I-go, za odznaczenie się przy obrocie eskadry na Korfu.

* **Choroby imaginacyi.** Ze wszystkich chorób, jakim człowiek podlega, najcięższe i najtrudniejsze do wyleczenia są choroby urojone. Rzadko one się spotykają co prawda, ale gdy człowiek dotknięty taką chorobą czuje potrzebę leczenia, biedny jest lekarz, na którego padnie wybór takiego miłego pacyenta. Wyleczenie prawie zawsze jest łatwe, jeżeli lekarz potrafi oddziałać na chorobliwą imagacyę i przekonać chorego, że choroba usuniętą została. Naturalnie, że lekarze w takich wypadkach uciekają się do sztuczek nic wspólnego z medycyną nie mających, usprawiedliwieni są jednak, jeżeli potrzeba ich użyć do uzdrowienia chorego Znany jest fakt, że człowieka o szklannych nogach lekarz wyleczył, urządziwszy sztuczny napad zbójców, przed którymi chory ratując się, wyskoczył z powozu i zmykał, gdzie pieprz rośnie. Obecnie znów dr. Jaby w Erlangenie miał 18-letnią pacyentkę, która cierpiała na... żabę w żołądku. Wszelkie możliwe sposoby i zapewnienia lekarza nic nie pomagały, chora z każdym dniem traciła siły i apetyt. Sprytny jednak doktor wynalazł sposób. Otóż wziął wielką grubą sondę i w górnym jej końcu umieścił małą, żywą żabę, a wprowadziwszy sondę do żołądka chorej pacyentki, otworzył sondę — i za

chwilę żywa żaba wyskoczyła do przygotowanej miski. Radość chorej granic nie miała. Apetyt wrócił, i po kilku godzinach chora czuła się zdrową jak nigdy.

* **Wystawa murzyńska.** Najprzedniejsi murzyni z Yowy, Nebraski i Kanzasu na zebraniu w Omarie utworzyli »Afrykańsko-amerykańskie międzynarodowe stowarzyszenie wystawowe«, aby pokazać światu, do jakiego stopnia kultury doszli murzyni. Wystawy będą się odbywały kolejno w owych trzech Stanach i do nich przypuszczane będą jedynie wyroby murzynów. Na wystawach mają być urządzone wyścigi konne, ale znowu tylko koni należących do murzynów.

* **Pająk,** tyle prześladowany i nienawidzony, jest wybornym środkiem domowym na niszczenie molów, komarów, muszek i motylic oraz innego szkodliwego robactwa. Żaden proszek nie dokaże tyle, co pająk swojem marnem przędziwem. Usługi te oddaje nietylko w domu, ale i w spichlerzach, stodołach, ogrodach i lasach, ztąd zabijanie pająków i niweczenie ich przędzy, zwłaszcza tam, gdzie ta nie obraża naszego poczucia czystości i porządku, jest niewątpliwie rzeczą co najmniej nierozsądną.

* **Najwyższym** stale zamieszkałym placem na kuli ziemskiej jest dom celny w Arkamarka w Peru. Miejscowość ta leży około 19,000 stóp ponad powierzchnią morza.

* **Ilość uderzeń pulsu i oddechów u człowieka** zdrowego wynosi w minucie: u nowonarodzonych dzieci 120, od pierwszego miesiąca aż do pierwszego roku 120 do 130, w drugim roku 90 do 115, w trzecim roku 80 do 100, w siódmym roku 72—90, w 12-tym roku 70, od 16—18 roku 80—85, w wieku męzkim (30 do 40 lat) 70 do 75, we wieku podeszłym 60 do 65. Liczba pulsów powiększa się także u zdrowych ludzi, gdy ciało jest w ruchu i podczas trawienia Ruch przyspiesza też oddech, którego ilość w minucie jest taka: u nowonarodzonych dzieci 44, od 1—5 roku 26, od 15—20 roku 20, w średnim wieku 16. Panny i kobiety, które się za pomocą gorsetów mocno sznurują, oddychają szybciej, niż takie, które się nie sznurują.

* **Andrzej Markgraf,** chemik berliński, złożył Akademii Nauk rozprawę o cukrze krystalicznym w wielu roślinach, a zwłaszcza w burakach, i zarazem zwrócił uwagę na ważność tego odkrycia dla przemysłu krajowego. Cukier kolonialny był jednak wtedy tak tani, że nie korzystano z odkrycia Markgrafa; zaledwie po latach 50 podniesiono na nowo myśl wyrabiania cukru z buraków. Pierwszy Lampadius we Freiburgu zaczął próbować tej fabrykacyi, która nieszczególne wydała rezultaty. Tak samo pierwsza cukrownia założona na Dolnym Szląsku w Cunern przez Acharda, r. 1796, pomimo poparcia króla pruskigo, słabo się rozwijała. Dopiero po zaprowadzeniu przez Napoleona systemu kontynentalnego, w roku 1806, kiedy cukier płacono po talarze za funt, rzucono się do wyrobu cukru z buraków. Potężną ku temu podnętę dał Napoleon, wyznaczając milion fr. na ulepszenia w cukrownictwie i udzielając pozwolenia na 500 fabryk. Już od r. 1811 przemysł ten zaczął się świetnie we Francyi rozwijać, w Niemczech zaś dopiero od r. 1837.

* **Siła muskułów u ślimaków** od dawna już zwracała na siebie uwagę zoologów, świeżo zaś jeden z uczonych francuzkich dokonał w tym względzie ciekawego doświadczenia. Przymocował on do skorupki ślimaka nić nie dość długą, zakończoną ciężarkiem żelaznym i przewiesił ją przez okno w ten sposób, iż ślimak wisiał za oknem, podczas gdy ciężarek z resztą nici, jako przeciwwaga, pozostał w pokoju. Skoro tylko zwierzątko przy bujaniu się nici zdołało pochwycić się muru, poczęło najspokojniej zstępować po ścianie, ciągnąc za sobą nić z wielkim stosunkowo ciężarkiem. Po zważeniu okazało się, iż ślimak, ważący $7^1/_2$ grama, zdołał ciągnąć za sobą kawałek żelaza ważący 250 gramów. Systematyczne dalsze próby wykazały, iż ślimak ten ciągnął nawet 265 gramów, a więc 36-krotną ilość własnej wagi.

* **Bicykle a duchowieństwo.** Z Rzymu piszą do «Polit. Corresp.«: Kongregacya obrządków ma się zająć obecnie sprawą czy duchownym ma być dozwolone używanie bicyklów. Kongregacya otrzymała w tem przedmiocie dwa memoryały: Jeden pochodzi od arcybiskupa Medyolanu kardyn. Ferrariego i oświadcza się przeciwko zezwoleniu, drugi zaś od biskupa Cremony, msgra Bonomellego, który zaznaczył, że używanie bicyklów może oddać wielkie usługi, zwłaszcza duchowieństwu wiejskiemu. Wśród członków kongregacyi zdania są także podzielone; decyzya dotychczas nie zapadła.

ŻARTY.

W kantorze.

Dyrektor: Cóż to, kancelisty Pisarkiewicza już dwa dni nie ma w biurze?

Kancelista: Proszę pana dyrektora, on wczoraj umarł...

Dyrektor: No, wiecie państwo, że to nie do wytrzymania z tymi panami! Mógłby przynajmniej sam przyjść mi to powiedzieć...

W sądzie.

Sędzia: Jaka była wartość butów, które wam skradli?

Powód: Kosztowały mnie 7 rubli, za dwa razy zelowania zapłaciłem po rublu — więc razem będzie 9 rubli.

Niewesoła praktyka.

Młody lekarz: Stróżu! przed chwilą dano mi znać, że w waszym domu złamał ktoś nogę.

Stróż: Ano tak. A czy pan cieśla?

Młody doktór (obrażony): Cieśla? Ja jestem doktór.

Stróż: Tam, proszę łaski pana doktora, potrzeba cieśli, bo lokator złamał sobie drewnianego kulasa.

Skuteczne lekarstwo.

— Wiecie, pani Marcinowo, już wykurowałam „swego“ od pijaństwa; już teraz nigdy sam do szynku nie idzie.

— No? a jakże to?

— A no, zawsze z nim tera razem chodzę...

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.